

CZESŁAW JÓŹWIAK (1919 - 1942)

Czesław Józwiak urodził się 7 września 1919 r. w Łążynie koło Bydgoszczy (Polska). Ojciec Leon był funkcjonariuszem policji śledczej. Z oratorium przy ulicy Wronieckiej związany był już od 10 roku życia. Chociaż wówczas jeszcze nie używano w salezjańskiej terminologii słowa "animator", to jego postać idealnie oddaje, co kryje się za tym pojęciem. Poczucie odpowiedzialności za innych, szczególnie młodszych było w nim tak naturalne, że w niekwestionowany sposób był autorytetem nie tylko dla chłopców z oratorium, ale również wśród swoich przyjaciół z "piątki". Cechy przywódcze współgrały w nim z ogromną życzliwością i gotowością niesienia pomocy. Był prezesem "Towarzystwa Niepokalanej", czyli jednej z ówczesnych grup formacyjnych, ale aktywnie udzielał się we wszystkich zajęciach oratorskich - organizował zawody sportowe, występował w przedstawieniach, śpiewał w chórze, gromadził wokół siebie młodszych chłopców, by opowiadać im historie z Trylogii Sienkiewicza. Przed wyjazdami na kolonie mamy zwracały się do niego o opiekę nad synami, a chłopcom nakazywały "słuchać się Czesia".

Uczęszczał do gimnazjum św. Jana Kantego. Zachowane po dziś dzień świadectwa szkolne bezlitośnie zdradzają, że (podobnie jak pozostali z "piątki") raczej nie był prymusem. Za to jako jedyny należał do harcerstwa. Jemu jednemu też udało się zaciągnąć do wojska podczas kampanii wrześniowej. Po zapadnięciu wyroku kilkakrotnie wyrażał żal, że nie zginął jako żołnierz.

Nie wiemy, w jaki sposób zetknął się z konspiracją, ale to on był szefem oddziału Narodowej Organizacji Bojowej, do której zaprzysiął swoich czterech kolegów z oratorium i trzech towarzyszy kampanii wrześniowej, którzy razem z "piątką" zginęli w Dreźnie. Po wcześniejszym aresztowaniu Klinika i Gabryela, pomimo sugestii ukrycia się wraz z ojcem i bratem, zdecydował się pozostać, aby uchronić przed represjami matkę i siostrę.

Podczas przesłuchań przez gestapo, jako przywódca grupy był najbardziej ze wszystkich maltretowany. W kolejnych więzieniach dzielił się ze współwięźniami swoimi głodowymi racjami chleba. Dodawał ducha, często żartował, starał się pocieszać innych, mimo, że zdawał sobie sprawę z powagi własnej sytuacji.

Swą ogromną siłą ducha czerpał z wiary. W jego duchowości nie było nic nadzwyczajnego. Swą świętość zawdzięczał praktykom religijnym, jak częsta spowiedź, Komunia św., nabożeństwo do Wspomożycielki Wiernych, kierownictwo duchowe ówczesnego dyrektora, księdza Piechury. Te zwykłe, salezjańskie "metody" na świętość w Czesławie Józwiaku przyniosły plon dojrzałego chrześcijaństwa, gotowego wyrazić własnym życiem i śmiercią głoszony przez księdza Bosko ideał uczciwego obywatela i dobrego chrześcijanina.

EDWARD KLINIK (1919 - 1942)

Urodził się 29 lipca 1919 r. w Bochum. Ojciec Wojciech był ślusarzem. Mama Anna zajmowała się domem. Starsza siostra Maria w 1936 r. wstąpiła do Zgromadzenia Sióstr Urszulanek Jezusa Konającego (Edward odwoził ją do nowicjatu do Pniew). Miał również młodszego brata Henryka, którego skutecznie zachęcił do uczęszczania do oratorium.

Bardzo spokojny, wręcz nieśmiały, dzięki przyjaźniom zawartym w oratorium stał się bardziej otwarty i bezpośredni. Jako jedyny z piątki Edward był uczniem szkoły salezjańskiej. Rodzice, widząc pozytywny wpływ, jaki mają na Edwarda salezianie, wysłali go do gimnazjum do Oświęcimia, gdzie przebywał w latach 1933-37. Nie od razu jednak zaaklimatyzował się. Według wspomnień siostry, po pierwszym przyjeździe do domu na święta Bożego Narodzenia, nie chciał wracać do Oświęcimia. Z czasem jednak polubił szkołę, został nawet prezesem Sodalicii Mariańskiej i przewodniczącym samorządu uczniowskiego. Po powrocie do Poznania, Edward powrócił także do oratorium i do przyjaciół.

Gestapo aresztowało go w sobotę 21 września 1940 r. O swoim pierwszym przesłuchaniu dwa dni później, napisał: Poniedziałek - pierwsze śledztwo - jeden z najstraszniejszych dni w moim życiu, którego nigdy nie zapomnę. Tak jak u pozostałych kolegów z "piątki" doświadczenie więzienia było dla niego rodzajem rekolekcji. Pisał do siostry Marii: Kiedy Bozia pozwoli, że będę mógł się znowu z Tobą zobaczyć? Lecz jakże inny. Dzisiaj, mając już za sobą duży okres szkoły życiowej, patrzę inaczej na świat, gdyż więzienie bardzo zmienia człowieka. Dla niejednych staje się szkodliwym, dla innych zbawiennym. Ja i moi koledzy możemy powiedzieć, że dla nas jest i będzie tym drugim.

Był najstarszy i najpoważniejszy z "piątki". Pozorna skrytość, kryła ogromną głębię ducha. Wyrażała się w pokorze i gotowości niesienia pomocy, ale w pełni ujawniła się dopiero w więzieniu, kiedy małomówny dotąd Edward w listach do rodziny i znajomych przelewał na papier całe bogactwo swego wnętrza. Głęboką wiarę zawdzięczał rodzicom, a także salezjańskiemu wychowaniu w poznańskim oratorium i szkole w Oświęcimiu, skąd wyniósł gorące nabożeństwo do Matki Bożej Wspomożycielki Wiernych. Wyniesiony wraz z przyjaciółmi na ołtarze, uzupełnia obraz "piątki" wesołej i beztroskiej swoją refleksyjną i dojrzałą osobowością.

JAROGNIEW WOJCIECHOWSKI (1922 - 1942)

Urodzony 5 listopada 1922 r. w Poznaniu był najmłodszy z "piątki". Mama Jarogniewa była nauczycielką muzyki, osobą wrażliwą, głęboko religijną i słabego zdrowia. Jarogniew był z nią bardzo mocno związany. To jej głównie zawdzięczał swoje chrześcijańskie i patriotyczne wychowanie. Miał starszą siostrę Ludmiłę, która wyszła później za mąż za towarzysza niedoli Jarogniewa z Wroniek i Spandau.

W oratorium na Wronieckiej był ministrantem, grał na fortepianie, na wyjazdach opiekował się młodszymi kolegami. Był chłopcem spokojnym, refleksyjnym i mądrym.

Życie i więzienne losy Wojciechowskiego, nawet w porównaniu z pozostałymi chłopcami z "piątki", były naznaczone szczególnym krzyżem. Matka wychowywała rodzeństwo samotnie - w jednym z listów Jarogniew nazywa ją bohaterką. Ojciec Andrzej był alkoholikiem. Pozostawił rodzinę, gdy chłopiec miał 11 lat, potem w czasie wojny podzielił losy tych poznaniaków, których Niemcy zmusili do wyjazdu z Wielkopolski. Z powodów materialnych, po pierwszym roku nauki, Jarogniew musiał zaprzestać nauki w Gimnazjum im. Adama Mickiewicza.

Podczas aresztowania, nie zdążył przekazać matce pieniędzy na utrzymanie, które miał w kieszeni. Niemiec, który obiecał oddać je nigdy tego nie zrobił. W dzień po jego aresztowaniu, z pracy zwolniona została jego siostra Ludmiła.

W liście do domu, prosząc o modlitwę pisał, że jest bity do nieprzytomności. We Wronkach, podobnie jak Edward Klinik, był trzymany w innym skrzydle więzienia niż pozostali. Pech prześladował go także w Berlinie - więźniowie byli rozmieszczeni w więzieniach w kolejności alfabetycznej, co spowodowało, że czterech pierwszych (i Gabryel) trafiło do Neuköln, a Wojciechowski do Spandau. Podczas gdy piątka w Neuköln wspólnie świętowała Boże Narodzenie, Jarogniew za śpiewanie kolęd musiał stać po pas w wodzie w karczerze.

Przez rok siostra tała przed nim fakt śmierci mamy. Dopiero na kilka miesięcy przed egzekucją mógł modlić się za nią jako za zmarłą. Pomimo krzywdy doznanej od ojca, w listach z więzienia pytał o wiadomości o nim. Jarogniew zapewne widział śmierć swoich kolegów. Był ostatnim z "poznańskiej piątki", na którym 24 sierpnia 1942 r. wykonano wyrok śmierci.

Dzięki poświęceniu i miłości matki oraz wychowaniu otrzymanemu w salezjańskim oratorium, rodzinne problemy Jarogniewa Wojciechowskiego, nieodległe od doświadczenia wielu polskich rodzin, nie przeszkodziły mu żyć pięknie i godnie.

FRANCISZEK KĘSY (1920 - 1942)

Urodził się 13 listopada 1920 r. w Berlinie. W 1921 r. rodzice przyjechali do Poznania. Ojciec pracował w Elektrowni Miejskiej, matka zajmowała się domem i wychowaniem Franciszka, jego trzech braci i siostry. Dom państwa Kęsych był zawsze otwarty dla gości, w tym wielu znajomych Franka.

Często chorował, był delikatny, wrażliwy, ale też bardzo wesoły, a jego szczególną pasją był sport. Chętnie występował w oratoryjnych przedstawieniach. W oratorium był animatorem życia religijnego. Wiara zawsze miała dla niego bardzo duże znaczenie. Codziennie służył do Mszy św. i przystępował do Komunii św., wieczorami odmawiał różaniec. Nie krył, że chce zostać salezjaninem, choroba przeszkodziła jednak mu we wstąpieniu do niższego seminarium w Łądzie.

Podczas kampanii wrześniowej podjął nieudaną próbę zaciągnięcia się do polskiej armii. Po powrocie do Poznania dzięki pośrednictwu Czesława Józwiaka otrzymał pracę w zakładzie malarskim, gdzie odtąd pracowali razem. Od momentu zamknięcia oratorium aż do aresztowania, wraz z pozostałymi przyjaciółmi śpiewał w chórze Stefana Stuligrosza.

Tak jak pozostali, był torturowany podczas przesłuchań. Ważnym doświadczeniem duchowym był dla niego okres pobytu w więzieniu we Wronkach: We Wronkach siedząc na pojedynce, miałem czas, żeby siebie zgłębić, tam to przyszedłem do porozumienia ze swoją duszą. I tam postanowiłem żyć inaczej, tak jak nakazał nam ksiądz Bosko, żyć tak, aby się Bogu podobać i Jego Matce.

Myliłby się jednak, kto chciałby go widzieć jedynie ze złożonymi rękami. Kęsy obok Kaźmierskiego był jedną z najweselszych osób w oratorium. Urodzony kawalarz, jeszcze na trzy miesiące przed śmiercią w więzieniu w Neuköln w grypsie do Edy pisał: Ja się mego humoru jeszcze nie pozbyłem, jeszcze figle płam. Raz Jantyszkowi schowałem tyżkę i jedli ze Stefanem jedną. Ponieważ była dolewka, jedli bardzo długo. Edziowi "Bebisiowi" [Klinikowi] poprzesztawiałem raz meble i na pokrywie kibla napisałem: "Achtung. Giftgas!" [Uwaga, gaz trujący!] i namalowałem trupa czaszkę.

Do końca zdaje sobie sprawę z własnych słabości. W ostatnim liście do rodziców przeprasza za zło i cieszy się, że może zejść ze świata pojednany z Bogiem w sakramencie pokuty i po przyjęciu Komunii św. Ksiądz Bosko nie wymagał od swoich wychowanków niczego więcej.

EDWARD KAŻMIERSKI (1919 - 1942)

"Eda" to chyba najbardziej barwna postać z "piątki". Urodził się 1 października 1919 r. Ojciec zmarł gdy Edward miał zaledwie cztery lata. Śmierć obficie zebrała żniwo w rodzinie Kaźmierskich - w wieku trzech lat zmarła jego siostra Zofia, a w szóstym miesiącu życia - Kazimiera. Kolejnym na tej smutnej liście miał być Edward.

Był jedynym synem i miał jeszcze trzy siostry. Matka sama utrzymywała rodzinę ciężko pracując. Aby jej pomóc, w wieku 17 lat przerwał naukę i zaczął pracować najpierw jako "chłopiec na posyłki" w sklepie dekoracyjnym, a później jako pomocnik w warsztacie samochodowym.

Miał duszę artysty. Jego zdolności muzyczne musiały być nieprzeciętne, jeśli bardzo pochlebnie wyraża się o nich sam Stefan Stuligrosz. Grał główne role w przedstawieniach oratoryjnych, komponował i śpiewał w chórze, grał na fortepianie i skrzypcach, pisał pamiętnik, grał w piłkę. Oratorium było dla niego drugim domem. Swoją otwartą osobowością przyciągał młodszych kolegów. Imponowało im też, że zna się na samochodach, a jego obecności towarzyszyły zawsze salwy śmiechu. Opisując w pamiętniku swoją pieszą pielgrzymkę do Częstochowy (odbył ją wraz Czesławem Józwiakiem), nie omieszkął wymienić imion wszystkich uroczych dziewcząt, jakie spotkał po drodze. W przeciwieństwie do swojego najbliższego przyjaciela Franciszka Kęsego nigdy nie chciał być księdzem. Modlił się do Maryi Wspomożycielki, by pomogła mu znaleźć towarzyszkę życia.

Po wybuchu wojny wstąpił na ochotnika do wojska, ale nie zdążył założyć munduru. Aresztowany, przesłuchiwany i bity, przez całą więzienną gehennę starał się nie tracić ducha. Przeciwnie, gdzie był Eda i nie groziło to konsekwencjami, tam często było wesoło. W więzieniu na Młyńskiej w Poznaniu polubili go nawet pospolici przestępcy.

W maju 1942 r., coraz bardziej zdając sobie sprawę z tego, co go czeka, odesłał rodzinie większość swoich rzeczy. Napisał wtedy swoje wyznanie wiary: Jakaż to siła, ta nasza wiara. Są także tacy tutaj, którzy w nic nie wierzą. Jaka dla nich straszna ta niewola. Słychać tam tylko przekleństwa i złorzeczenia. A u tych, co mają silną wiarę spokój, a zamiast przekleństw sama radość. Duch mój jest silny i coraz silniejszy się staje. Nic go już nie załamie, bo go Bóg umocnił. Jestem na wszystko przygotowany, bo wiem, że wszystkim Bóg kieruje, dlatego we wszystkim widzę niepojęte myśli Boże.

Świętość Edwarda Kaźmierskiego urzeka swoją naturalnością. Jest właśnie taka, o jakiej marzył św. Jan Bosko dla swoich wychowanków. Łączy głęboką wiarę i dojrzałość wyborów życiowych z ogromną spontanicznością i radością życia.